ROK DRUGI.

№ 18.

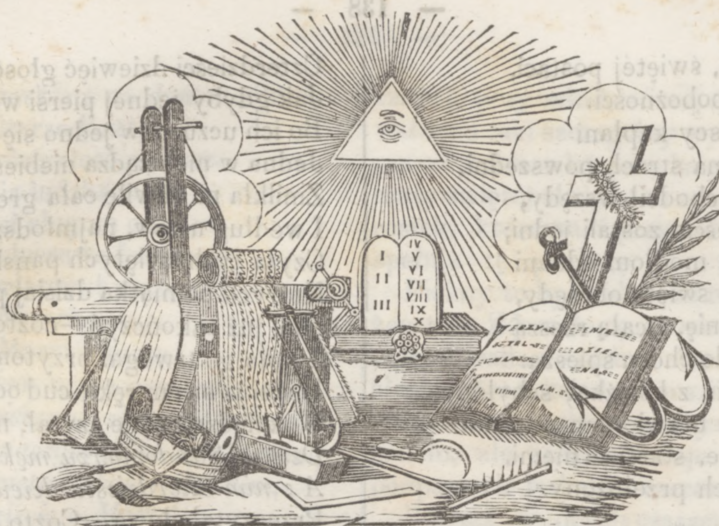
Warszawa

Dnia 21 Kwietnia (3 maja)

1857.

Niedziela

3cia po WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Kiedy daję, moje daję, kiedy odbieram, nie zabieram twojego; ode Mnie (Boga) bowiem jest wszelkie dobro udzielone i wszelki dar doskonały. (O nasl. Chr. K. 3. R. 30).

Błogosławiony Sadoch.

Legenda z r. 1260.

Kędy przeleci Tatarzyn dziki,
Szlak swój naznacza krwi ludzkiéj falą;
Co noc to szerzéj łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.
Już na popiołach zielsko zarasta,
Już kości trupów w polach bieleją,
A jeszcze nowe wioski i miasta
Kąpią się we krwi i popieleją.
On swe zagony daléj zapuszcza,
Morduje, więzi, łupi, bezcześci;
A jak donoszą codzienne wieści,
Że już w Lublinie pogańska tłuszcza.

* * *

Niepłonne wieści popłoch rozszerza,
Zwiastuny nieszczęść lecą przed wrogi,
I można szlachta i kmieć ubogi
Tłumem się sparli do Sandomierza;
Bo w Sandomierzu pewniejsze wsparcie,
Zamek kamienny, wysokie wieże,
Gruby ostrokół warownią strzeże,
A zbrojny zastęp stoi na warcie.
Dzielnych łuczników waleczne łona
Zniosły miecz Niemca, Litwina topor;
Oni Tataron postawią opór,
W nich cała ufność, cała obrona.

* * *

Nad Sandomierzem poranek płynie,
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całem mieście, w całéj krainie
Z żadnéj się piersi głos nie dobędzie;
Tak głucho w mieście w rannéj chwili,
Że ci, co bramy zamkowéj strzegą,
Mogliby słyszeć szelest motyli
I liczyć bicie serca własnego.
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi,
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Rój Dominika zakonnych braci
Niedawno jeszcze w tych strzechach gości,
A już sercami narodu włada,
Już lud cudowne rzeczy powiada

O białych szatach, świętej postaci,
Nauce, cnotach i pobożności.
I teraz nawet pańscy kapłani
Nie bacząc wcale na strach powszedni,
Co się wokoło rozchodził wszędy,
W bezludnem mieście zostali jedni;
I w swoich celach modłom oddani
Sprawiając śmiało święte obrzędy,
Dzwonią na Jutrznię, i całą rzeszą
Na ranne modły do chóru spieszą.
Każdy z różańcem, z książką, schylony,
Z okiem pobożnie utkwionem w ziemi—
Młodzi na przodzie, starsi za niemi,
A dalej starzec, ich przełożony.

* * *

Imie mu Sadoch, i lat już wiele
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do niebios tronu,
I ostrą włosień nosi na ciele.
Zmłodu wiódł żywot niemniej surowy,
Bo dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy,
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy;
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły włosy, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło
Ogłaszać wiarę na końce świata—
Ale starszyzna wolą niepłonną
Dała mu w rządy karność zakonną.

* * *

Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyleż w nich braci, w ustawach ściśli
Może ni jednéj światowéj myśli,
Może jednego grzechu nie mieli;
Bo pod świętego starca rozkazem
Zajęci pracą swojego stanu,
W postach, modlitwie, ostréj pokucie
Tłumili każde ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

* * *

I otóż wszyscy, świętych wyrazem
Zasiedli w chóru ciemnem sklepieniu,
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:
„ Boże! pospiesz się ku wspomożeniu,
„ Panie! ratunku twego nam trzeba“
I dalej modły wyznawców pańskich
W jedno donośne spłynęły brzmienie,
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich
Jak gdyby jednej piersi westchnienie;
Bo ich uczucia w jedno się zlały,
Jedna w nich żądza niebieskiéj chwały.
Zmilkła na chwilę cała gromada,
I według ustaw, najmłodszy z grona
Czyta tych świętych pańskich imiona,
Których pamiątka dzisiaj przypada;
Miał już zakończyć—cóżto? błąd oka?
Zdjęła go trwoga, przytomność traci;
Widzi w swém ręku cud oczywisty,
W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:
Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
A z nim czterdziestu dziewięciu braci.
Przeczytał słowa—Cóżto on gada?
Woła z podziwem cała gromada,
I wszyscy spieszą oglądać z głoski,
I wszyscy widzą wielki cud boski.
Wtem znikły z karty wyrazy wieszcze,
Jak sługi Boże poniknąć miały;
I znowu w chórze modły zabrzmiały
Jeszcze gorętsze i szczersze jeszcze.
Po modłach Sadoch z twarzą radosną
Do najmłodszego przyszedł kapłana,
I pełen skruchy padł na kolana,
I świętą spowiedź odprawił głośno.
Potem każdemu bratu koleją
Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją,
I świętym chlebem pańskiéj biesiady.
I znów przed Zbawcy klękli obrazem,
Jak niegdyś Chrystus za dusze zbójcze,
Święci wyznawcy wołają razem:
Nawróć ich Panie, przepuść im Ojcze!
I otóż wieczór już po nieszporze;
Sadoch ze swymi w środku kościoła
Klęcząc na ziemi, do Maryi woła,
I pieśń Maryi nuci w pokorze:
Zawitaj królowo, matko i Pani,
Zawitaj o nasza nadziejo!
Do ciebie Adama synowie wygnani
Z ziemskiego padołu, ze łzawéj otchłani
Wzdychają i gorzkie łzy leją.
Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,
I burze srożeją i gromy w nas biją;
Zwróć ku nam twe oczy, o zwróć miłosiernie,
Pospiesz i wspomóż Maryo!

* * *

Wtem z trzaskiem wrota kościelne pękły,
Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
Wyrznąwszy w zamku naród przelękły,

Padł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
Jedni już łupią ołtarze Boże,
A drugich dzika wściekłość rozżarza,
I pobroczone krwią ludzką noże
Wpychają w piersi sługom ołtarza.
Tryskają z piersi krwawe fontanny
I białe szaty szkarłatem broczą;
Święci pod noże idą ochoczo,
I kończą pieśnią Maryi Panny:
A owo po ziemskiem wygnaniu tułaczem
Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,
Niech Jezus nad naszym lituje się płaczem,
Niech Jego najświętsze oblicze obaczem,
Ukaż nam twe dziecię o Matko!
Na łonie Jezusa światłością odziani
Odetchną strapieni, umarli ożyją —
Lecz módl się za nami o Matko, o Pani!
O słodka Dziewico Maryo!

Staroświeckie przesądy.

—

Świętéj pamięci mój dziadek szczególniejsze miał upodobanie w starych ubiorach, które pielęgnował z taką starannością, że w jego skrzyni znalazłeś szczątki jego dziecinnéj odzieży, a świąteczne ubranie po trzydziestoletniéj usłudze jak nowe wyglądało. Mawiał on zawsze, że mieli racyą starzy w przysłowiu: *jak cię widzą, tak cię piszą— każdy kraj ma swój obyczaj, a każda głowa swój rozum.* Bo też w ubieraniu widział teraźniejszość, przeszłość i przyszłość każdego; i za nic w świecie nie byłby w tym względzie odstąpił od raz przyjętego zwyczaju, z przekonania, że zmiana ubioru pociąga za sobą zmianę całéj istności człowieka. I dlatego też ustawicznie powtarzał: Chcesz długo nosić te same suknie, to je zawczasu naprawiaj, a czyść ostrożnie; nikim się nie wyręczaj, bo przez posły wilk nie syty, a pańskie oko konia tuczy.

Mój dziadek lubo pomimo podeszłego wieku cieszył się czerstwem zdrowiem, w siedmdziesiątym roku życia nie miał już ani jednego zęba, ani jednego włosa na głowie; bo zęby, jak mówił, zjadł na orzechach, a włosy z wierzchu głowy same wypadły, od spodu zaś zawsze je po staroświecku golił.

Mała i kształtna jego główka oparta na szczupłéj, prostej jak trzcina figurce, okrytéj opiętym żupanikiem i buchciastemi spodniami, w krótkie buciki wpuszczonemi, zakończonéj, przy młodzieńczéj żywości i ruchu nadawała mu taki szczególny wyraz, że gdy młodszemu od siebie o lat parę księdzu proboszczowi do mszy świętéj służył, to zdawało się, iż jakiś podrostek, któremu z przypadku włosy wypadły, spełnia tę posługę.

Piękny to był widok to rozrzewniające nabożeństwo. Zdawało się, że modlitwa dwóch starców wprost trafia do nieba. Ale kiedy po ukończonéj służbie Bożéj ksiądz i on szli w parze na swój żur, lub piwną polewkę, to wtedy widać było, że chociaż śmiało, ale z trudem swoje dziewięćdziesiątki na podpartych laskami, czerstwych ciałach dźwigali.

Bo też w owych czasach nie było czem przedwcześnie siły stargać. Groch i kapusta, kasza i kluski, marchew i pasternak nie zachęcały do przeładowania żołądka. Okrasa zastępująca w większéj części mięso, ogrzewała ciało, a nie mnożyła krwi, któréj nadmiar najczęściéj zabija. Woda i cienkosz nie szkodziły głowie, a użyty w miarę miodek nie tworzył zepsutych humorów, które dziś tylolicznym chorobom dają początek. Pług i szabla sił dodawały, a zdrowego powietrza nie truły zarazy, które nędza sprowadza; gdyż do sprowadzenia nędzy zbytek się nie przyczyniał. Zabaw i przyjemności cnota dostarczała, a bojaźń Boga tworzyła nieprzerwane szczęście, które także dla zdrowia silną było pomocą, bo dawało spokój o *jutro.*

Takie to surowe życie dało sto lat czerstwego zdrowia memu dziadkowi, który bez włosów, zębów nie znał niedołęztwa; gdyż włosy zastąpiła czapka, a brakowi zębów zaradzał mały nożyk, którym skrobał na miazgę surowe jarzyny, żeby je wygodnie spożyć, lub strugał na cienkie listki chleb, ser i różne pieczywa, żeby się stały do strawienia łatwiejszemi.

W zdrowem ciele miał także zdrowy rozum, a chociaż nie posiadał wysokich nauk, bo przed stu pięćdziesięciu laty mało kto mógł do nich dostąpić, to jednakże zdanie jego i mądrzy podzielali, i tem bardziéj się dziwili, dlaczego ten rozumny starzec pod względem ubioru takim się wydawał dziwakiem; zwłaszcza, gdy lubił we wszystkiem postęp, i codzień musiał coś nowego dociec, czegoś się nowego nauczyć.

Dziwniéj się jeszcze wydawało słyszeć starca, co swojski ubiór niemal wyżéj cenił nad życie, nieznającego obcych zwyczajów i obcych ubiorów, słyszeć mówię, wielbiącego każdego cudzoziemca, który mu się według swego narodowego

obyczaju przedstawił. Miał bowiem takie przekonanie: że mierząc francuza miarą francuzką, niemca niemiecką, anglika angielską, to się każdy poczciwy człowiek wymierzy i wyda doskonałym.

A tož to kiedy raz wnuk pokazał mu się w węgierskich wywatowanych butach, to stary aż się rozpłakał, że dożył takiego nieszczęścia; a kiedy drugi wnuk, którego dawno nie widział, przyjechał z Warszawy w surducie, to musiał sobie naprędce kazać rozpór zaszyć, z obawy, żeby dziadka do grobu nie wpędzić.

Tak upływały lata, a mój dziadek zawsze ten sam z wierzchu, ten sam we środku; zawsze ten sam kontusz w kościele, ten sam, ale odmienny na zabawie, zawsze jednakowa kapota do robót, letnia lub zimowa, trochę wytarta, trochę spłowiała, ale cała i czysta—spodnie tylko i żupany, jako częściej używane (bo dziadek bardzo dużo chodził i pracował) częstszemu ulegały zepsuciu. To też przy każdym nowym sprawunku utyskiwał dziadek na to, że też nie wymyślą na spodnie i żupany czegoś takiego, coby się dłużej mogło nosić, tak jak sukna z sedanu, które aż wnuki dodzierały.

Dopiero surdut i węgierskie buty zniewoliły dziadka do wyjaśnienia powodów swego upodobania w staréj odzieży, i swojéj nienawiści do modnych strojów.

Byłem, mówił, zagonowym szlachcicem, tak jak mój syn najmłodszy, u którego przecież spokojnie głowę położę. Przodkowie moi nie szlacheckie zagony, nie szczupłe fortuny, ale obszerne posiadali włości, które się razem z ich potomstwem mnożyły; tak, że jakoś synowie zawsze byli zamożniejsi od ojców, a wnuki od synów. Tak to szło długo na nieszczęście; bo gdy mój pradziad stał się tyle bogatym, że mu dworski urząd powierzono, od niego zaczął się upadek mego rodu. Obowiązany mieszkać w stolicy, musiał się zastosować do swoich towarzyszów, używać świata jak oni, i stroić się według obyczaju wielkiego świata. A że zwykle mniéj możni zawsze chcą naśladować możniejszych, to też i mój pradziad uległ tej słabości. Przestał jadać po polsku, przestał się ubierać po szlachecku; wnet też szlacheckie dochody nie sprostały magnackim wydatkom. Sprawił sobie kosztowny ubiór, a zobaczywszy bogatszy i modniejszy u kogo innego, to zaraz tamto ubranie odrzucił, a inne sprawiał, nie rachując, że na ten zbytek tysiąc szedł za tysiącem, a kufry przepełnione mało noszonemi szatami, ani grosza dochodu nie przynosiły; część zjadły mole, a reszta po jego śmierci nie przydała się dzieciom, które już dworskich urzędów nie piastowały—i tak z kąta w kąt się walając, zmarniała.

Kosztowne zapasy win i miodu rozdzielone na kilkoro rodzeństwa, wkrótce wyczęstowano; bo dzieci dla utrzymania honoru rodzica, jak on zbytkowały w strojach, zbytkowały w jadle, zbytkowały w domowych sprzętach, które moda Bóg wie nie zkąd kazała sprowadzać, często odmieniać i drogo opłacać. Wszystkie te zbytki kradły pieniądz, a co gorsza kradły czas, który ten pieniądz mógł był zarobić. I dlatego mój ojciec został już tylko przy jednéj zadłużonéj wiosce, która przeszła na starszego brata, a mnie młodszego opieka wypuściła z niczem. Chciał wprawdzie mój brat wykierować mnie na ludzi, a że jak mówił, wszystko zaczynać należy *od jajka*, to też i on moję edukacyą zaczął od uczenia mnie sztuki paszenia trzody, a potem za nagrodę czasami pozwalał w nocy i koniki pasać.

W tym stanie spotkał mnie raz stary kanonik, przyjaciel mego ojca, i zaraz z sobą zabrał—wyuczył służyć do mszy świętéj, potem posyłał do szkoły, i sam uczył, a jak wyrosłem, oddał swojemu bratu na wieś, gdzie się nauczyłem gospodarować, i po kilku latach osiadłem na własnym zagonie, kupionym za ojczystą schedę, na którą szanowny kanonik przecież od mego brata paręset talarów uzyskał.

Nie poznawszy zbytków mojego rodu, niczego nie pragnąłem, tylko spokojnego kawałka chleba, a że mi kanonik zawsze opowiadał przyczynę upadku moich przodków, więc dreszczem mnie przejmowało każde wejrzenie na zbytkowy ubiór, każde zasłyszenie o jakiemkolwiek nadużyciu.

Otóż dlatego, żeby odpokutować błędy moich przodków, nosiłem moję kapotę przez 10 lat, dlatego, że oni może tylko 10 dni nosili. Noszę mój kontusz więcéj dwudziestu lat dlatego, że mój dziadek w 20 latach może 200 kontuszów nasprawiał. A kiedy mi przyjdzie nowe ubranie sprawić, to aż mnie strach bierze, ażali przez ten zbytek nie naruszę mojéj ojcowizny, którą także chciałbym w całości oddać mojéj dziatwie, z téj przyczyny, że moi przodkowie tego nie uczynili; a jeszcze usilniej pracowałem i pracuję na to, żebym ową ojcowiznę powiększył, dlatego, że moi przodkowie swoję zmniejszyli.

I jakoż Bóg mi pobłogosławił — więcéj dam moim dzieciom, niż wziąłem od moich rodziców, a jeżeli i dzieci, moje zwyczaje swoim dzieciom przekażą, to z pomocą Bożą może kiedyś ród mój do dawnéj zamożności powróci.

A i nie tak to trudno, jak się zdaje, stać się zamożnym. Kiedy raz wojna zniszczyła cały mój dobytek, tom zaraz sobie pomyślał: ja będę kilka lat dłużéj chodził w jednéj kapocie, będę trochę mniéj jadał, trochę dłużéj codzień pracował, to się i na dobytek oszczędzi.

I tak się też stało; jam dał trochę, Pan Bóg dał więcéj, i był dobytek, lepszy jak przed wojną.

Mimo jednak téj oszczędności anim się gorzéj nie ubierał, ani głodniéj spać nie kładł; bo suknie zawczasu naprawiane i ostrożnie czyszczone, długo wyglądały jak nowe, a jadło mniéj smaczne, a więcéj pożywne, chociaż mniejszym kosztem, równie dobrze nasycało. Żyłem zdrów i szczęśliwy jak dawniéj. Bo też te modne ubiory, te wykwintne jadła, to szatański wymysł, który zły duch rozszerza po świecie, żeby mógł bity trakt piekielny zrobić powabniejszym od cierniowéj drogi, która przecież sama jedna tylko do Nieba prowadzi.

Nie szukaj lepszego, mówi przysłowie—kiedy raz doświadczysz wygodnéj czapki, to czemuż ci ona zawsze nie ma być wygodną? A piękność, Boże odpuść, alboż to piękne szaty do zbawienia pomagają? Piękna dusza, piękny rozum, to co innego; tam zbytkujcie, dociekajcie wszystkiego, co Bóg dociec pozwolił, a odnawiajcie waszego ducha coraz liczniejszemi cnotami i przymiotami, to się wywyższycie, i po śmierci staniecie bliżéj aniołów. A szaty, a stroje toż je zostawicie na ziemi, a chociaż je włożą na waszego trupa, to i zaraz wiekiem przykryją, w ziemię zakopią, gdzie wszystkie zgniją.

Przywykniesz do częstéj zmiany odzieży, to wkrótce nauczysz się także zmieniać twoje zdanie, twoje przekonanie—bo jeżeli cię nie kosztuje odrzucenie sukni, która ci dawała wygodę, to cię też mało kosztować będzie wyrzec się cnoty, która ci dawała szczęście.

Tak rozumował świętéj pamięci stuletni mój dziadek przed pięćdziesięciu lat zmarły; coby też on teraz o naszym Bożym świecie powiedział?

O szczepieniu morwy.

—

Mili czytelnicy tego pisma! obiecałem wam powiedzieć o szczepieniu morwy. Dawno to już—już roczek minął— przepraszam; bo to na człowieka nietylko czas, ale i niepowodzenia wpływają. Chęć odbiegła pisać, bo nam nie powiódł się zamiar; ale zamilczę o nim, a wy jeżeli się domyślacie, także nic nie gadajcie.

Morwę szczepić, czy nie szczepić?—nikomu nie udało się dowieść niezaprzeczenie. W krajach cieplejszych od naszego, gdzie naprzód i już oddawna, zaczęto przysposabiać jedwab, a zatem i drzewka morwowe pielęgnować, tak nieodzownem było szczepienie tego drzewa, że gdy chciano porównanie zrobić z nieszczepionem, w całym kraju nie znaleziono nieszczepionéj morwy. Teraz już w tym samym kraju i w innych, dużo nieszczepionych morw zaprowadzają. Czy to oni dobrze lub nie dobrze robią, co nam w to wchodzić—patrzmy siebie, i u siebie miejmy zawsze szczepione i nieszczepione drzewka, ażebyśmy z uwagą hodując jedwabniki, w jednejże izbie osobno żywione téj i osobno drugiéj morwy liściem, w końcu powiedzieć mogli: ten liść daje tyle i takiego jedwabiu, a tamten z taką różnicą. My sami wtedy będziemy mogli powiedzieć, która nam jest lepsza morwa, bo tego nas nikt nie nauczy. Każda kraina, w któréj przyjęło się jedwabnictwo, tym sposobem przyszła do oznaczenia właściwéj morwy dla swojéj ziemi, dla swojego powietrza, i czy ją szczepić czy nieszczepić?

Powiecie: a kiedy tak, to wieleż tam tych morw i jak je poszukać?

Otóż morwy są czarne i białe. Czarna morwa powiadają, niedobra dla jedwabiu; Bóg świadkiem, że i o tem należałoby nam się przekonać, bo wiem takie krainy, w których po różnych próbach, czarną morwę uznano dla siebie za najlepszą. Ale to są wyjątki, a w ogólności białéj tylko morwy liściem karmią jedwabniki, ażeby otrzymać dużo i dobrego jedwabiu.

Téj morwy tak wiele rozrodziło się odmian, że ich do dwóchset naznaczonych osobnemi nazwaniami naliczyćby można. Różnią się one między sobą rozmaitym liściem co do wielkości, kształtu, koloru, rozmaitym owocem także co do wielkości kształtu i kolorów, rozmaitą korą, rozmaitym czasem co do rozwijania listków. Sami to wiecie, że co kraj, to obyczaj.

W niektórych stronach widzielibyście sosnę już dorodną, a zaledwie sprostać mogącą naszéj śliwie; u nas także są krzewinki jak karliki, na które chuchaćby zaledwie nie wypadło, ażeby je uchować, a gdzieindziéj ta krzewinka rośnie w drzewa, równające się naszéj potężnéj sośnie. Tak też się dzieje z morwami białemi — nie wszystkie dadzą się uchować u nas, inne nie tak silne będą, jak w obcych krajach, innym nasz klimat lepiéj posłuży, ale wszystkim do nas z obcych stron sprowadzonym towarzyszyć będzie jakaś, choć nieznaczna odmiana według ziemi i klimatu, które zamieniają. Ztąd też wypadnie, że w naszych prowincyach uznane już morwy za właściwe, dostaną nowe także nazwania, jak np. morwa podlaska, mazowiecka, kaliska, płocka, kujawska, litewska i t. p.—a z tych najlepsze zapewne jedwabie wydawać będą krakowskie, mazowieckie, płockie, lubelskie i kaliskie, jak to nam klimat i ziemia obiecuje.

Jużby mi wrócić należało do szczepienia, aleście mnie zagadnęli, jak te różne morwy dostać? Nie jest to żadna tajemnica, powiem więc, jak rozumiem. Nie wciągniesz sam belki na dom; kilku was się zbiegnie i niedługo belka będzie na domu — we wszystkiem trudno jest samemu. Dla téj to przyczyny zawiązała się u nas Spółka jedwabnicza, czyli zebrało się Towarzystwo jedwabnicze, takiéj saméj natury, jak wszystkie podobne w innych krajach. Są tam możni, są uczeni, a najbardziej są tam ludzie sumienni — oni wam wszystko ułatwią, co się dotyczy jedwabnictwa. Jeżeli umiesz czytać, dasz dziesiątkę, oni wydają książeczki tanie; znajdziesz w nich, jak się obchodzić z morwą — gdy ci morwy wzrosną, dasz drugą dziesiątkę i z drugiéj książeczki dowiesz się, jak jedwabniki pielęgnować, żeby mieć jedwab. A gdybyś miał taki wypadek, o którym nie ma nic powiedzianego w tych książeczkach, jeżeli umiesz pisać, wprost napiszesz do Spółki jedwabniczéj w Warszawie; poczta ją sama znajdzie, a Spółka niezwłocznie da radę. Napiszesz, że życzysz sobie takiego nasienia, lub takich drzewek, lub takiego przyrządu; wszystko ci dostawią według twego życzenia, bez żadnego za swoje trudy wynagrodzenia, bo tak sobie ta Spółka postanowiła. Nikomu nie pokłonisz się, a o wszystkiem wiedzieć możesz, co się w jedwabnictwie dzieje, byleś miał dobrą wolę.

No, to już teraz o szczepieniu. Wystawiam sobie, jak ja was nudzić muszę; przywara to starości, a więc pozwólcie mi jeszcze, ażebym powiedział wprzódy, dlaczego szczepić drzewka morwowe?

Uważają niektórzy, że morwa szczepiona więcéj wytrzymałą jest na zimno; chociaż podczas mrozów zdarzało się i tak i owak. Były miejsca, gdzie szczepiona nie zmarzła, a zmarzła nie szczepiona, ale były i takie miejsca, gdzie się zdarzało przeciwnie. To już zależy od rodzaju ziemi i od położenia gruntu; sami najlepiéj przekonacie się w czasie i do tego też zastosujecie. Byłoby to ważne, gdyby było pewne. Ale to jest pewne, że szczepiona morwa wydaje liść większy, mięsistszy, więcéj go wydaje, tak, że biorąc w porównanie na wagę, o jednę trzecią część wydaje więcéj liścia morwa szczepiona, niż nieszczepiona. Lecz ponieważ przekonano się, że robaki na swoje pożywienie potrzebują o jednę trzecią część więcéj liścia z morwy szczepionéj, niż nieszczepionéj, więc rzeczywiście żadnéj tu niema korzyści. Co do jedwabiu prawie też same są zalety z karmu liściem téj lub owéj morwy. Śmiertelność między robakami była zawsze mniejsza, karmiąc je liściem morwy nieszczepionéj. Lecz dwie są ważne okoliczności przemawiające za szczepieniem morwy, mianowicie, że zbieranie liścia jest łatwiéjsze, i że liść zerwany ze szczepionej morwy prawie trzy dni utrzymuje się bez zwiędnięcia, kiedy liście nieszczepionéj morwy po zerwaniu w kilka godzin więdnieją. Jeżeli więc zanosi się na dnie dżdżyste, można śmiało zapas liścia zrobić, ażeby go na sucho podawać jedwabnikom, bo od mokrego liścia wywiązują się w nich choroby. Jeżeli między drzewkami waszemi znajdziecie morwę dorodną, to jest zdrową, czystej i gładkiéj kory, z liściem dużym, jasnego koloru i niewykrawanym, ale różnego kształtu, a drzewko to wydaje już owoce, przeznaczcie taką morwę na nasienie, dobrze ją pielęgnujcie i liści z niéj nie zrywajcie. Będziecie mieli własne i najpewniejsze nasienie. Ale jeżeli go zasiejecie, między płonkami znajdziecie dużo takich, które się różnić będą między sobą co do wzrostu, a szczególniéj co do liści. Doświadczenie zaś pokazało, że niekorzystnem jest dla robaka i dla jedwabiu zmienianie pokarmu. Tożsamość morwy stanowi tu tożsamość pokarmu; plantacyą powinny więc składać jednakowe drzewa, do czego najłatwiéj przyjść można przez szczepienie—nadzwyczajne-

go bowiem potrzeba doświadczenia, ażeby po zasiewie między małemi płonkami wybrać takie, któreby tożsamość stanowiły. Ma jeszcze to drzewo te szczególne własności, że czasami w ciągu życia swego zmienia kształt liści, zmienia nawet płeć pierwotną, i po kilkunastu latach zacznie wydawać owoce, czemu nie są radzi hodujący jedwabniki; bo trudno uniknąć, ażeby owoc wraz z liściem nie dostał się do robaków, przez co zwiększa się nadzwyczajnie szkodliwa fermentacya dla jedwabników. Jeszcze więc i pod tym względem ważnem jest szczepienie morw.

Szczepienie drzew jest bardzo dawno znane. Gałązkę z morwy, którąśmy upodobali sobie i wybrali, gdy zaszczepimy w pieniek morwy, którą posiadamy, będziemy z niéj mieli niezawodnie to upodobane i wybrane drzewko. Pieniek ma być równéj, albo większéj grubości od gałązki; przycięcia zaś pieńka i gałązki powinny być takie, ażeby po zetknięciu ich z sobą, gałązka na pieńku ile możności pionowo stała, i w największéj liczbie punktów, ile być tylko może, korami swemi przytykały się do siebie szczelnie.

Ztąd to liczymy bardzo wiele odmian ze szczepienia pochodzących, z kształtu zacięć, według względnéj grubości pieńka do gałązki. Soki wstępujące w pieńku spotkawszy świeże i otwarte dla siebie naczynia gałązki, przechodzą w nie i krążeniem swojem przyswajają sobie gałązkę obcą. Najpierwszym zatem warunkiem szczepienia jest, żeby i pieniek i gałązka w pełności życia swego były, żeby były świeże i zupełną sposobność krążenia soków w sobie przedstawiały. Wypada ztąd, że szczepienie wykonane być ma podczas największego krążenia soków, to jest na wiosnę, lub w lecie od 15 lipca do 15 sierpnia u nas—a przycięcia pieńka i gałązki robione będą w chwili szczepienia, tak, ażeby podczas wykokonywania téj czynności, zacięcia nie obeschły z swéj wilgoci. Dlatego też zaraz po zaszczepieniu, czyli zetknięciu gałązki z pieńkiem, zacięcia obwijają się szczelnie paskami płótna, lub papieru nasmarowanego maścią żywiczną—naprzód, ażeby powietrze nie miało do tego rodzaju rany przystępu—powtóre, ażeby nim zrośnięcie nastąpi, rozczepianie się zetknięć nie miało miejsca, chociażby przy największem poruszeniu powietrza.

Gdy krążenie soków zależy od wystawy gruntu i rodzaju utrzymywania go, nie można naznaczyć czasu szczepienia; przeto wcześniéj przysposabia się gałązki—to jest gdy pączki nabrzmieją na drzewie naznaczonem, zbiera się z niego gałązki, tnie na zrazy, i z pączkami zachowuje w świeżéj wilgotnéj ziemi, tak, ażeby tylko parę oczek wystawało na zewnątz.

Płonki mające przyjąć szczepienie, drugiego roku po zasiewie przyciąć należy równo z ziemią, i dopiero trzeciéj wiosny, po nowem przycięciu nabędą mocy szczepienia. Można także z pomyślnym skutkiem szczepić w pieniek starszego znacznie drzewa, lub w gałęzie jego, skróciwszy je poprzednio do miejsca, około którego szczepienie zamierzamy wykonać, albo nawet w szyję korzeni.

Gdy obawa przymrozków minie, a płonki ścięte podniosą się na półtora cala, w dniu wolnym od wiatru, deszczu i zbytecznego działania słońca, zaszczepiają się zachowane zrazy.

Oczkowanie jest to także szczepienie, za pośrednictwem nie już gałązki, ale oczka lub pączka z drzewka obranego. Te same zatem okoliczności i ostrożności służą oczkowaniu, co szczepieniu—podobnież w przysposobionych wcześnie pęczkach zachowują się oczka, w podobnym że stanie znajdować się powinien i pieniek i dzień obrany do wykonania czynności.

Na ćwierć cala pod oczkiem nacina się kora wpoprzek, aż do drzewa, następnie podobne nacięcia wykonane będą z boków, w sposób, ażeby w odkrojonéj trójkątnéj tarczy, pół cala obszernéj, wśrodku znajdowało się oczko. Tarcza odjęta ma być kościanym klinikiem bez obrażenia jéj, a szczególniéj oczka w niéj będącego—poczem wziąwszy za korzonek od listka obciętego przy oczku, porusza się nim zwolna, dopókąd oczko z swemi korzonkami dobrze nie odstanie. Jeżeli na wewnętrznéj stronie przeciw oczku nie ma wypukłości, to jest korzonka oczka, ale dołek, oczko to niedobre, i chociaż się zrośnie z pieńkiem, nie wyda z siebie gałązki.

Ogonek listka bierze się w usta, chroniąc oślinienia tarczy lub oczka; wtedy na gałązce lub pieńku do szczepienia oczyszczonym z listków i wyrostków, na przestrzeni trzech cali, zakrawa się wpoprzek i wpodłuż w kształcie litery T, lub odwrotnie, o tyle, iżby po podniesieniu klinikiem kory przy zacięciu, oczko pomieścić, i końcami odchylonéj kory obłożyć się mogło przy zasadzeniu. To uskutecznia się prędko, że-

by tarcza nie oschła. Obwiązawszy zwolna łyczkiem, lub nicią wełnianą szczelnie, opatruje się potem i zwalnia obwiązanie, gdyby to wpijać się miało w korę.

Otóż tak się odbywa szczepienie. Ażebym was długo nie nudził, dodam tu pęczek w skróceniu zebranych ogólnych wiadomości; może się przydadzą.

Gdy korzonek listka zwolna odrywa się, oczko się przyjęło. Jeżeli oczko trudno jest odjąć od zraza, potrzeba go wyciąć z odrobiną drzewa. Oczkować najlepiej od strony północnéj lub wschodniéj, ażeby oczka nie wysychały. Oczkowanie mniéj naraża morwę na szwank, jak wszelkie inne szczepienie. Oczka powinny być doskonałe, z przeszłorocznych latorośli. Morwa nieszczepiona czyli dzika dłużéj żyje niż szczepiona—dlatego niektórzy radzą szczepić w czarną morwę, bo ta dłużéj żyje niż dziczka biała. Za pomocą szczepienia odświeżać, odmładzać można drzewo, zmieniać mu koronę, a w płotach w miejsce zepsutego przez bydło pieńka, nową latorośl wszczepić.

Zwykle szczepią w rozsadniku i szczepione morwy przenoszą do szkółki; to jest najdogodniejszy sposób pod względem otrzymania mocy i równości drzewek. Szczepienie w szkółce jeżeli na którem nie uda się, następnego roku ma być powtórzone; takie drzewko już mniejsze od sąsiednich, zacienione i zagłuszone bywa. W ogólności płonki nie osłabione przez przesadzanie prędzéj uzupełniają warunki szczepienia. Tak też znowu lepiéj już szczepić w szkółce, niż w plantacyi; gdyż pomimo powyższych przyczyn, ta się nastręcza, że w szkółce drzewko jest jeszcze dosyć młode i bliżéj ziemi zdolniejsze do szczepienia, jak szczepić w gałęzie.

W Marcu, lub jak tylko zaczną grę swoję soki w drzewach, zebrać należy gałązki do szczepienia i w pęczkach zachować. Gałązki te nie powinny być ani bardzo suche, ani zbyt soczyste. Wilków lub pijawek nie używa się na gałązki, czyli zrazy. Zraz do szczepienia powinien mieć 3 oczka, do oczkowania może ich mieć więcéj.

Gdy zaszczepione gałązki na jednę stopę podrosną, odwija się plasterki płócienne, papierowe zostawia. Wszystkie pędy poniżej szczepienia odcinać należy, ochraniać od robaczków, w kątach pączków gnieździć się mogących. Jeżeli szczepy podrosłszy, zachowały liść w jesieni, znakiem to jest, że się udały. Często polewane wzrosną do 18 cali. W jesieni rozsadzić je należy albo do szkółki, albo po zatrzymaniu ich rok jeszcze w rozsadniku, wprowadzić wprost do plantacyi. Jeżeli szczepienie na niektórych nie udało się, lepiéj je odrzucić, lub powtórnie szczepione oddzielnie potem osadzać, dla zachowania jak największéj równości w plantacyi. Powtórzone szczepienie dwa lub trzy razy, wyda drzewko słabe, sforsowane i mniejsze jak inne drzewka w plantacyi. W niektórych okolicach jeżeli niewielka jest ilość gałązek do przechowania, końcami wtykają w kartofel, ogórek lub rzepę. Przesyłając zrazy, pęczki ich obłożone być winny mokrym mchem, i zawinięte w ceratę, albo w płótno, albo w papier—tak w świeżości zachowują się kilka tygodni.

Zdania.

1. Kto niewinnego obmówi, gorszym jest od rozbijającego na publicznéj drodze; przed tamtym bowiem ukryć się można, lub bronić, a obmowa obrony nas pozbawia.

2. Śmierć sprawiedliwego człowieka jest chwilą, w której zaczynają się ziszczać jego nadzieje; ale śmierć niepoprawionego grzesznika jest początkiem kary, która go czeka w przyszłości.

3. Jeżeli oddalacie od siebie żebraka, mówiąc mu: *idź, pracuj*!—przekonajcie się pierwéj, czy nie jest kaleką, czy wiek użyczy mu sił do pracy, czy jego matka, żona lub dziecię nie zachorują z głodu pierwej, niż byłby w stanie zapracować na posiłek?—W każdym razie pomóżcie mu, bo Chrystus powiedział: *Nie patrzcie, komu dajecie, ale dajcie pomoc w Imie Moje.*

4. Kto chce mieć dobrego sługę, mówią jedni, nie powinien go bardzo chwalić w oczy; drudzy utrzymują, że dobrze płacić mu powinien,—a to najpewniejsza, że pracą i uczciwością przykład niechaj mu daje.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 16 (28) kwietnia 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*